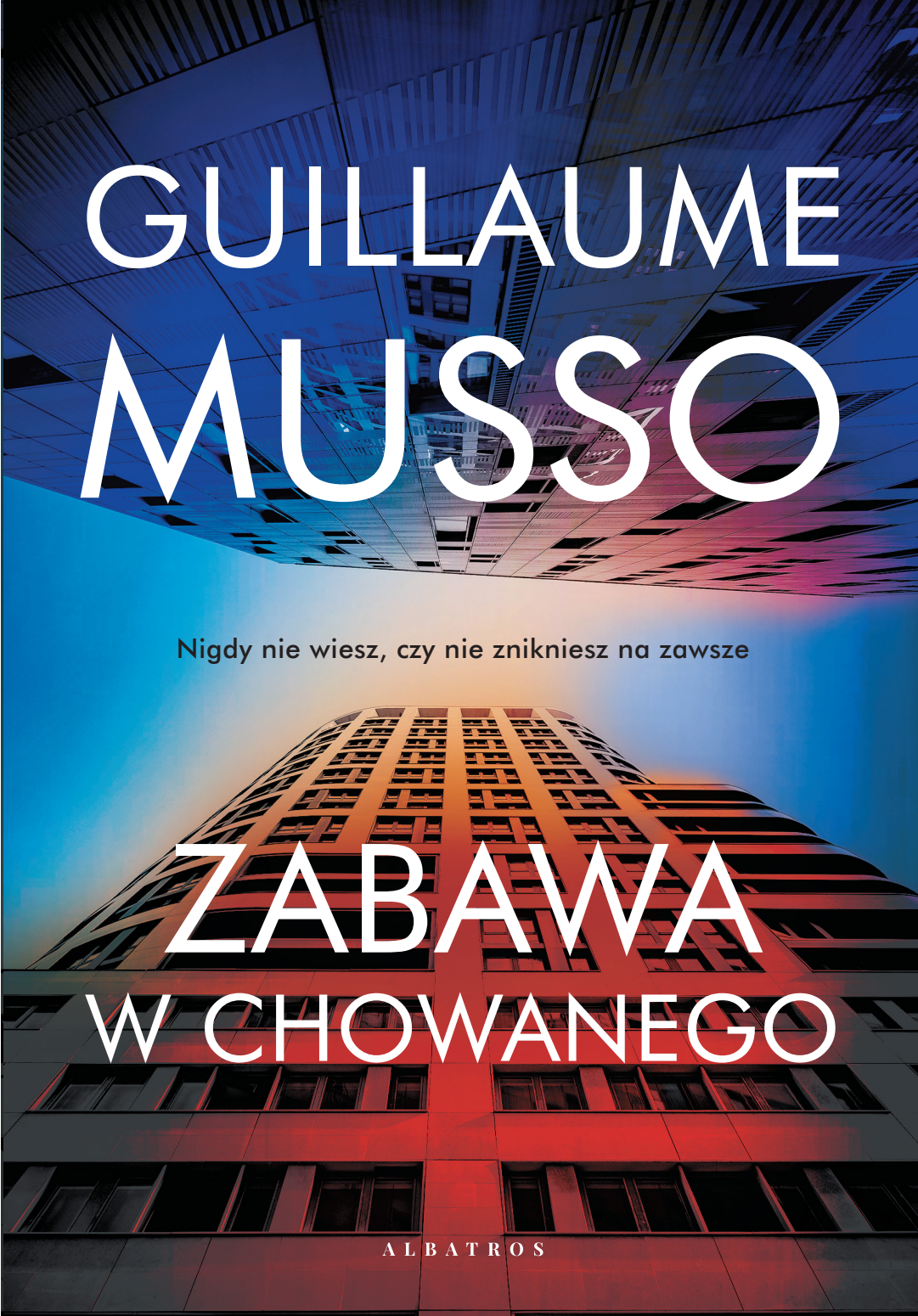




GUILLAUME MUSSO

Nigdy nie wiesz, czy nie znikniesz na zawsze

ZABAWA W CHOWANEGO

ALBATROS

Tytuł oryginału:
LA VIE EST UN ROMAN

Copyright © Calmann-Lévy, 2021
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Joanna Prądzyska 2021

Redakcja: Aleksandra Żdan

Ilustracje © Matthieu Forichon

Zdjęcie na okładce: © Luke Butler/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



1

Ukryta

*Powinniśmy widzieć wyraźnie, co dzieje
się przed naszym nosem, tymczasem
jest to zawsze spowite mgłą.*

Julian Barnes

1

Brooklyn, jesień 2010

Sześć miesięcy temu, dwunastego kwietnia 2010 roku, porwano moją trzyletnią córeczkę Carrie Conway. Wydarzyło się to podczas zabawy w chowanego u nas w mieszkaniu, w brooklyńskiej dzielnicy Williamsburg.

Było piękne słoneczne popołudnie, co wiosną zdarza się w Nowym Jorku często. Jak zwykle poszłam po Carrie do szkoły, Montessori School przy parku McCarrena. W drodze powrotnej wpadłyśmy do Marcello's po mus i cytrynowe cannoli, które Carrie pochłonęła w mig, drepząc wesoło obok wózka.

Mieszkałyśmy w Lancaster Building, pod numerem trzysta dziewięćdziesiątym szóstym przy Berry Street. Gdy weszłyśmy do holu, nowy dozorca, Trevor Fuller Jones – pracował u nas niecałe trzy tygodnie – wręczył mojej córce miodowego lizaka z sezamem i kazał jej obiecać, że nie zje go od razu. Dodał, że Carrie ma wielkie szczęście, mając mamę, która pisze powieści, bo z pewnością usypia ją pięknymi bajkami. Roześmiałam się i odparłam, że na pewno nie czytał żadnej mojej książki, z czym się zgodził.

– To prawda – przyznał. – Nie mam czasu na czytanie, pani Conway.

– Nie znajduje pan czasu na czytanie, to niezupełnie to samo – odpowiedziałam, gdy zamykały się za nami drzwi windy.

Jak zwykle uniosłam Carrie, żeby mogła nacisnąć guzik ostatniego, szóstego piętra. Winda dramatycznie jęknęła – już od dawna nie bałyśmy się tego dźwięku – i ruszyła. Lancaster to stary budynek o stalowej strukturze, obecnie odnawiany. Niezwykły pałac z ogromnymi oknami pośród korynckich kolumn. Kiedyś był tu magazyn fabryki zabawek. Zakład ten zakończył działalność w latach siedemdziesiątych. Z powodu ogólnej dezindustrializacji, która nastąpiła w tym czasie, obiekt popadł w zapomnienie na prawie trzydzieści lat, po czym gdy zaczęła się moda na Brooklyn, został odnowiony i przerobiony na budynek mieszkalny.

Tuż za drzwiami Carrie zrzuciła adidas i wsunęła na stópki różowe kapcie z miękkimi pomponami. Podeszła za mną do szafki z adapterem, by przyjrzeć się, jak nastawiam winylową płytę – drugą część koncertu G-dur Ravela. Klasnęła z radością, ciesząc się perspektywą słuchania muzyki. Jeszcze chwilę snuła się za mną, czekając, aż skończę rozwieszać upraną bieliznę, po czym poprosiła, żebyśmy pobawiły się w chowanego.

Była to jej ulubiona zabawa, miała na jej punkcie bzika.

Na początku tylko zasłaniała oczy rączkami, tracąc mnie z pola widzenia, ale za chwilę rozsuwała palce, a moja twarz, jak za sprawą czarów, pojawiała się znowu, w odpowiedzi na co Carrie zanosila się śmiechem. Z czasem zrozumiała, na czym polega ta zabawa – zaczęła chować się za zasłoną albo pod stolikiem. Ale zawsze coś wystawało: czubek stopy, łokieć albo źle podwinięta noga. Gdy zabawa trwała zbyt długo, Carrie machała do mnie ręką, żebym szybciej ją znalazła.

W miarę jak rosła, gra się rozwinęła. Carrie poznała resztę pokoi, pojawiły się inne kryjówki: mogła ukucnąć za drzwiami, zwinąć się w kłębek w wannie, zakryć kołdrą czy wejść pod łóżko.

Reguły również ewoluowały, zabawa stała się poważniejsza.

Teraz przed udaniem się na poszukiwania musiałam stanąć twarzą do ściany, zamknąć oczy i policzyć do dwudziestu.

To właśnie zrobiłam tamtego popołudnia, dwunastego kwietnia. Światło słoneczne wyzierało zza wieżowców, mieszkanie skąpane było w ciepłym, nierealnym świetle.

– Mamusiu, nie oszukuj! – skarciła mnie Carrie, mimo że przecież nie zamierzałam łamać zasad. Stałam w swoim pokoju, oczy zasłoniłam dłońmi i zaczęłam odliczać, ani za szybko, ani za wolno.

– Raz, dwa, trzy, cztery, pięć...

Doskonale pamiętam stłumiony odgłos jej kroków na parkiecie. Carrie wyszła z pokoju. Usłyszałam, jak tupta przez salon i potrąca fotel ustawiony naprzeciw wielkiej szklanej ściany.

– ...sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć...

Czułam się wspaniale. Moje myśli wędrowały, niesione przez krystalicznie czyste nuty muzyki dobiegającej z salonu. Z głośnika wydobywał się właśnie mój ulubiony fragment – adagio wygrywane niczym dialog między różkiem angielskim a fortepianem.

– ...jedenaście, dwanaście, trzynaście, czternaście, piętnaście...

Długa fraza melodyczna pełna perlistych dźwięków. Niektórzy porównują ją do odgłosów deszczu, którego ciepłe krople spadają równomiernie, w spokojnym rytmie.

– ...szesnaście, siedemnaście, osiemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia!

Otworzyłam oczy.

Otworzyłam oczy i wyszłam z pokoju.

– Uwaga, uwaga! Mama nadchodzi!

Grałam zgodnie z naszymi regułami. Z radością podążałam za wskazówkami mojej córeczki, spełniając jej oczekiwania. Wychodziłam z jednego pokoju, wchodziłam do drugiego, wszędzie wesoło wykrzykiwałam:

– Gdzie jest ta Carrie? Nie ma jej pod poduszkami... Nie ma za kanapą...

Psychologowie uważają, że gra z maluchem w chowanego ma działanie pedagogiczne: jest środkiem, za pomocą którego dzieci w pozytywny sposób zapoznają się z procesem separacji z rodzicami. Powtarzając scenę rozstania, które jest tymczasowe i nie dzieje się naprawdę, dziecko powinno pojąć, jak silne więzy łączą je z opiekunami. Żeby zabawa zadziałała w sposób terapeutyczny, należy przeprowadzić ją niczym spektakl, dzięki czemu w krótkim czasie dziecko doświadczy wielu emocji: podniecenia, oczekiwania i szczypty strachu przed ostatecznym radosnym odnalezieniem rodzica.

Aby wszystkie te emocje miały szansę zaistnieć, należy przeciągać grę i nie zdradzać zbyt szybko, że zna się kryjówkę dziecka. Oczywiście często wiedziałam, gdzie Carrie się schowała, jeszcze zanim otworzyłam oczy. Ale nie tym razem. Po dwóch czy trzech minutach zwyczajowego udawania, że jej szukam, zaczęłam szukać naprawdę.

Owszem, mieszkanie jest duże – dwieście metrów kwadratowych w zachodnim skrzydle budynku – ale nie ma w nim znów tak wiele dobrych kryjówek. Kupiłam to mieszkanie kilka miesięcy wcześniej, inwestując cały dochód z praw autorskich. Plan odnowy Lancastera spowodował, że budynek został wyprzedany prawie na pniu i to mieszkanie było ostatnim wolnym. Od pierwszej wizyty zakochałam się w nim i żeby je zdobyć i jak najszybciej się wprowadzić, dałam deweloperowi łapówkę. Od razu kazałam zburzyć wszystkie ściany i przerobiłam mieszkanie na loft z jasnym miodowym parkietem i minimalną liczbą mebli. Gdy bawiłyśmy się w chowanego ostatnim razem, Carrie znalazła naprawdę dobre kryjówki; wykazała się sprytem i raz wślizgnęła się za suszarkę do bielizny, a drugi raz ukryła się w schowku na szczotki.

Spokojnie, choć już nieco zirytowana, szukałam jej wszędzie, za każdym meblem. Tu i tu... i tam... Zniecierpliwiona, potrąciłam dębową komodę, na której stały winylowe płyty i adapter. Igła zgrzytnęła i odskoczyła. Muzyka ucichła, pogrążając pokój w ciszy.

Żołądek ścisnął mi się ze strachu.

– No dobrze, kochanie, wygrałeś! Natychmiast wychodź z kryjówki!

Pobiegłam do przedpokoju sprawdzić drzwi wyjściowe. Były pancerne, zamknięte na podwójny zamek; klucz ze zwisającym brelokiem zostawiłam w górnym zamku poza zasięgiem dziecka.

– Carrie, wychodź natychmiast! Powiedziałam ci już, wygrałaś!

Próbowałam opanować panikę. Na zdrowy rozum Carrie musiała być w domu. Klucz w zamku blokował bębenek, drzwi nie można było otworzyć z zewnątrz, nawet jeśli miało się drugi klucz. Okna przy renowacji budynku zostały zamknięte na stałe. Moja córka nie mogła stąd wyjść, nikt nie mógł tu wejść.

– Gdzie jesteś, Carrie?!

Dostałam zadyszki, jakbym przebiegła połowę Central Parku. Wdychałam powietrze, ale mimo to się dusiłam. To niemożliwe! Przecież nie można zniknąć podczas zabawy w chowanego w zamkniętym mieszkaniu! Ta zabawa kończy się zawsze dobrze, to inscenizacja, nic innego. Dobry koniec wpisany jest w reguły tej gry, wszystko polega na pewności, że osoba, która chwilowo znikła, znów się pojawi.

– Carrie, dość tego! Mama będzie się gniewać!

Mama będzie się gniewać, ale przede wszystkim mama zaczęła się bardzo bać. Trzeci czy czwarty raz zajrzałam do wszystkich kryjówek, po czym ruszyłam do sprawdzania kryjówek nieprawdopodobnych: bęben maszyny do prania, kominek – od wieków zatkany. Odsunęłam ciężką lodówkę, nawet wyłączyłam korki, żeby odblokować i otworzyć klapę w suficie, która zasłaniała otwory wentylacyjne z klimatyzacją.

– CARRIE! – ryknęłam. W mieszkaniu zadrżały szyby. Ale echo ucichło i żaden nowy dźwięk się nie pojawił. Na

zewnątrz słońce już zaszło i zrobiło się lodowato. Tak jakby nagle wróciła zima.

Stałam zapłakana i spocona. Po dłuższej chwili spostrzegłam w korytarzu przy drzwiach wyjściowych maleńki kapeć Carrie z blad różowego aksamitu. Podniosłam go. Był to kapeć lewy. Kapeć prawy znikł, tak jak moja córka.

Postanowiłam zadzwonić na policję.

3

Pierwszy zjawił się u mnie detektyw Mark Rutelli z 90. Posterunku w północnej części Williamsburga. Zbliżał się do emerytury. Mimo zmęczonego wyglądu i cieni pod oczami od razu zrozumiał, że czas nagli, trzeba działać szybko. Nie szczędził wysiłków. Kolejny raz dokładnie przeszukał mieszkanie, zadzwonił po posiłki, żeby przeszukać cały budynek, po ekipę techników kryminalistycznych, wysłał dwóch policjantów z poleceniem przesłuchania mieszkańców i osobiście przejrzał z ekipą ochroniarską nagrania z monitoringu.

Gdy tylko dowiedział się o brakującym kapciu, chciał uruchomić procedurę „Zaginione dziecko”, ale policja stanowa życzyła sobie mocniejszych przesłanek.

Czas mijał, bardzo się denerwowałam. Czułam się kompletnie zagubiona, nie wiedziałam, jak mogę pomóc,

a bardzo chciałam. Nagrałam wiadomość na sekretarce automatycznej mojej wydawczynie: „Fantine, potrzebuję twojej pomocy. Carrie zaginęła. Jest tu policja, nie wiem, co robić, jestem nieprzytomna z niepokoju, oddzwon jak najprędzej!”.

Wkrótce nad Brooklynem zapadła noc. Carrie się nie pojawiła, a policja nie wpadła na żaden ślad. Moja córka znikła, porwana w ciemność przez krwawego Króla Olch, który wykorzystał moment mojej nieuwagi.

O ósmej wieczorem przybyła szefowa Rutellego, porucznik Frances Richard. Stała na dziedzińcu przed Lancasterem, gdzie kazano mi zejść, podczas gdy policja przeszukiwała moją piwnicę.

– Założyliśmy podsłuch na pani linii telefonicznej – oznajmiła porucznik Richard, stawiając kołnierz płaszcza przeciwdeszczowego.

Ulicę zamknięto. Na Berry Street wdarł się lodowaty wiatr.

– Możliwe, że ci, którzy porwali pani córkę, zadzwonią z żądaniem okupu lub w jakiejś innej sprawie. Ale na razie zabieram panią na komisariat.

– Dlaczego? Jak ona mogła zostać porwana? Drzwi były...

– To właśnie staramy się wyjaśnić, proszę pani.

Uniosłam głowę i popatrzyłam na masywną sylwetkę budynku, odcinającą się wyraźnie od monochromatycznej czerni tła. Coś mi podpowiadało, że Carrie jest wciąż

tam w środku i że zrobię błąd, jeśli stąd odejdę. Szukając wsparcia, spojrzałam na Rutellego, ale on stanął po stronie swojej szefowej:

– Proszę jechać. Musi pani dokładnie odpowiedzieć na niektóre pytania.

Fragmety przesłuchania Flory Conway

Przesłuchanie odbyło się w poniedziałek 12 kwietnia 2010 roku, prowadzili je detektyw Mark Rutelli i porucznik Frances Richard, na terenie 90. Posterunku, 211 Union Ave, Brooklyn, NY 11211.

20.18

Porucznik Richard (*przeglądając notatki*): Mówiła pani, że ojciec Carrie, Romeo Filippo Bergomi, jest tancerzem w Operze Paryskiej, czy tak?

Flora Conway: Jest tancerzem koryfeuszem.

Detektyw Rutelli: Co to dokładnie oznacza?

Flora Conway: W hierarchii opery są to tancerze, którzy jeszcze nie są solistami, ale już nie są zwykłymi członkami zespołu baletowego.

Porucznik Richard: Chce pani powiedzieć, że mąż jest... niezaradny?

Flora Conway: Nic podobnego, po prostu odpowiadam na pytanie.

Porucznik Richard: Pan Bergomi ma dwadzieścia sześć lat, tak?

Flora Conway: Z pewnością to sprawdziliście.

Detektyw Rutelli: Tak, skontaktowaliśmy się z nim, co zresztą powinna była pani zrobić sama. Był bardzo zaniepokojony. Od razu wsiadł w samolot, będzie w Nowym Jorku jutro rano.

Flora Conway: To pierwszy raz, kiedy niepokoi się o swoją córkę! Do tej pory nigdy się nią nie interesował.

Detektyw Rutelli: Ma mu to pani za złe?

Flora Conway: Nie, nie przeszkadza mi to.

Detektyw Rutelli: Myśli pani, że pan Bergomi lub ktoś z jego najbliższego otoczenia mógłby skrzywdzić Carrie?

Flora Conway: Nie wydaje mi się, ale nie mogę przysiąc. Tak naprawdę... nie znam go za dobrze.

Porucznik Richard: Nie zna pani ojca swojego dziecka?

20.25

Detektyw Rutelli: Pani Conway, czy ma pani wrogów?

Flora Conway: Nie wydaje mi się.

Detektyw Rutelli: Dobrze, powiedzmy, nieprzyjaciół. Kto mógłby żywić do pani urazę? Jest pani znaną pisarką. Koledzy po fachu, którym mniej się poszczęściło?

Flora Conway: Nie mam „kolegów”, nie chodzę do biura czy do fabryki.

Detektyw Rutelli: No, wie pani, kogo mam na myśli.

Ludzie przecież czytają coraz mniej, trudno trafić na szczyty list bestsellerów. Z pewnością wynikają z tego napięcia, zazdrość...

Flora Conway: Być może, ale to jeszcze nie powód, żeby porywać komuś dziecko.

Porucznik Richard: Jakiego rodzaju powieści pani pisze?

Flora Conway: Nie sądzę, żeby przypadły pani do gustu.

Detektyw Rutelli: A może wśród czytelników zauważyła pani jakiegoś zwariowanego fana, w rodzaju tej bohaterki z *Misery*? Jakieś agresywne listy, maile, ktoś wsadzał nos w pani sprawy?

Flora Conway: Nie otwieram listów od czytelników, ale z pewnością robi to moja wydawczyni, może się pan do niej zwrócić.

Detektyw Rutelli: Dlaczego pani ich nie czyta? Przecież to ciekawe, co ludzie myślą o pani książkach?

Flora Conway: Dla mnie nie.

Porucznik Richard: Dlaczego?

Flora Conway: Ponieważ ludzie czytają książki, żeby zrobić przyjemność sobie, a nie autorowi.

20.29

Detektyw Rutelli: Czy pisarze dobrze zarabiają?

Flora Conway: Różnie.

Detektyw Rutelli: Pytam, bo przejrzeliśmy pani konta i nie ma tam zbyt wiele...

Flora Conway: Wszystkie pieniądze zainwestowałam w zakup i odnowienie mieszkania.

Detektyw Rutelli: No tak, taki apartament musiał kosztować kupę forsy.

Flora Conway: To było dla mnie bardzo ważne.

Porucznik Richard: Co było dla pani ważne?

Flora Conway: Mury, za którymi mogłabym się ukryć.

Detektyw Rutelli: Ukryć się? Przed czym?

20.34

Porucznik Richard (*machając depeszą agencji prasowej AFP*): Widzę, że dużo o pani napisano. Wiem, że to może nie najlepszy moment, ale proszę przyjąć moje gratulacje za otrzymanie Nagrody Kafki.

Flora Conway: Zgadza się, to nie jest dobry moment.

Porucznik Richard: A więc nie pojechała pani po odbiór nagrody do Pragi, ponieważ, cytuję, „cierpi pani na fobię społeczną”, czy tak?

Flora Conway: ...

Detektyw Rutelli: Cierpi pani na fobię społeczną?

Flora Conway: O co właściwie panu chodzi? Nie rozumiem, dlaczego traci pan czas na zadawanie mi głupich pytań, zamiast...

Porucznik Richard: Gdzie pani była wczoraj wieczorem? U siebie w mieszkaniu, z córką?

Flora Conway: Wczorajszy wieczór spędziłam poza domem.

Porucznik Richard: Gdzie pani była?

Flora Conway: W Bushwick.

Detektyw Rutelli: Bushwick jest duże.

Flora Conway: Byłam w barze na Frederick Street,
w Boomerangu.

Porucznik Richard: Dziwne, przecież cierpi pani na fobię społeczną.

Flora Conway: Tę historię z fobią wymyśliła moja wydawczyni, Fantine, żeby oszczędzić mi spotkań z dziennikarzami i czytelnikami.

Detektyw Rutelli: Dlaczego nie chce pani się z nimi spotykać?

Flora Conway: To nie należy do moich obowiązków.

Detektyw Rutelli: Co należy do pani obowiązków?

Flora Conway: Do moich obowiązków należy pisanie powieści, a nie sprzedawanie ich.

Porucznik Richard: Dobrze, wróćmy do tego baru. Kto opiekuje się Carrie, kiedy pani wychodzi z domu?

Flora Conway: Najczęściej jej niania albo Fantine, jeśli nie ma innego wyjścia.

Detektyw Rutelli: A wczoraj wieczorem, kiedy pani była w Boomerangu, kto został z małą?

Flora Conway: Niania.

Detektyw Rutelli: Jak niania się nazywa?

Flora Conway: Nie wiem. Dzwonię do agencji, nigdy nie wysyłają tej samej dziewczyny.

20.40

Detektyw Rutelli: Co pani robiła w tym Boomerangu?

Flora Conway: To, co robi się w barach.

Detektyw Rutelli: Piła pani?

Porucznik Richard: Poderwała pani kogoś?

Flora Conway: To stanowi część mojej pracy.

Detektyw Rutelli: Bo pani praca to picie w barze?

Porucznik Richard: I flirt?

Flora Conway: Moja praca to odwiedzanie różnych miejsc, obserwacja ludzi i rozmowa z nimi. Usiłuję wyobrazić sobie ich życie, sekrety... Są dla mnie źródłem natchnienia.

Porucznik Richard: Spotkała pani kogoś wczoraj wieczorem?

Flora Conway: Doprawdy, nie rozumiem, jaki to ma związek z...

Porucznik Richard: Czy wyszła pani z baru w towarzystwie mężczyzny, pani Conway?

Flora Conway: Tak.

Detektyw Rutelli: Jak się nazywał?

Flora Conway: Hassan.

Detektyw Rutelli: Hassan... a dalej?

Flora Conway: Nie wiem.

Detektyw Rutelli: Dokąd poszliście?

Flora Conway: Do mnie.

Porucznik Richard: Przespała się pani z nim?

Flora Conway: ...

Porucznik Richard: Pani Conway, proszę nam powiedzieć, czy odbyła pani stosunek płciowy u siebie w domu, tam gdzie spała pani córka, z nieznanym spotkanym kilka godzin wcześniej w barze?

20.46

Detektyw Rutelli: Chciałbym, żeby uważnie przyjrzała się pani temu nagraniu: pochodzi z dzisiejszego popołudnia z kamery monitoringu na korytarzu szóstego piętra pani budynku.

Flora Conway: Nie miałam pojęcia, że tam jest jakaś kamera.

Porucznik Richard: Decyzja o założeniu jej zapadła pół roku temu na corocznym zebraniu rady wspólnoty mieszkaniowej. Wzmocniono ochronę Lancastera, od kiedy w budynku zaczęły wykupywać mieszkania i odnawiać je osoby z forsą.

Flora Conway: Domyślałam się, że nie pochwała pani tego.

Detektyw Rutelli: W tej kamerze doskonale widać pani drzwi wejściowe. Tu wraca pani ze szkoły z Carrie. Proszę spojrzeć na godzinę w dole ekranu. Piętnasta pięćdziesiąt trzy. Potem nie ma już nic. Przejrzałam całe nagranie w przyspieszeniu. Nikt nie zbliża się do drzwi pani mieszkania, aż do mojego przyjścia o szesnastej pięćdziesiąt osiem.

Flora Conway: Przecież to panu mówiłam!

Porucznik Richard: Ta historia nie trzyma się kupy. Myślę, że nie mówi pani całej prawdy, pani Conway. Jeśli nikt nie wszedł do mieszkania ani z niego nie wyszedł, to znaczy, że pani córka wciąż w nim jest.

Flora Conway: No to JĄ ZNAJDŹCIE!

[Wstaję z krzesła, widzę swoje odbicie w lustrze. Błada twarz, blond włosy zwinięte w koczek nad karkiem, biała koszula, ramoneska. Trzymam się na nogach i chciałabym powiedzieć sobie, że tak pozostanie].

Porucznik Richard: Pani Conway, proszę usiąść! Jeszcze nie skończyliśmy. Zostało nam kilka pytań.

[Powtarzam w myślach, że dam radę. Przecież już nie-raz byłam w opałach i przeżyłam. Ten koszmar wreszcie się skończy. Wtedy...].

Detektyw Rutelli: Bardzo panią proszę, niech pani usiądzie!

Porucznik Richard: Cholera, zemdlą! Rutelli, rusz się pan! Dzwonź pan na pogotowie! Znów się nam dostanie! Cholera!

2

Wierutne kłamstwo

*W rozmowie z pisarzami nie wolno
nigdy zapomnieć, że nie są to ludzie
tacy jak wszyscy.*

Jonathan Coe

1

Sześć miesięcy temu, dwunastego kwietnia 2010 roku, podczas zabawy w chowanego u nas w domu, w dzielnicy Williamsburg, porwano moją trzyletnią córkę, Carrie Conway. Podczas przesłuchania na komisariacie zemdlałam. Przytomność odzyskałam w Brooklyn Hospital Center, gdzie przez kilka godzin pilnowało mnie dwóch agentów FBI, bo śledztwo w sprawie zaginięcia mojej córki przejął oddział nowojorski Biura. Jeden z agentów oznajmił, że jego ekipa jest właśnie w trakcie dokładnego przeszukiwania mojego mieszkania i że jeśli Carrie tam jeszcze jest, na pewno ją znajdą. Poddano mnie drugiemu przesłuchaniu,

pytania były tak samo agresywne jak za pierwszym razem. Wyglądało na to, że stałam się podejrzaną. Najwyraźniej domniemywano, że wiem, co naprawdę stało się z Carrie.

Gdy tylko odzyskałam siły, poprosiłam o wypisanie ze szpitala i przeniosłam się do mojej wydawczyni. Spędziłam u niej tydzień w oczekiwaniu, aż policja pozwoli mi wrócić do domu.

2

W śledztwie nie pojawiały się żadne postępy.

Dzień za dniem, miesiąc za miesiącem upływają mi jak za mgłą. Połykam kolejne tabletki w beznadziejnym oczekiwaniu, aż wreszcie zdarzy się coś konkretnego, aż śledczy znajdą jakieś wskazówki, ślady, aż aresztują podejrzanego, aż wreszcie ktoś zażąda okupu. Niech już nawet będzie to policjant, który przyjdzie zawiadomić mnie, że odnaleziono ciało mojej córki! Wszystko, tylko nie to beznadziejne trwanie w niepewności! Wszystko, tylko nie ta nicość!

Pod moim budynkiem, słynnym Lancasterem, dzień i noc stoi kamerzysta i waruje dziennikarz, czasem jest ich kilku; mają przygotowane mikrofony. Nie jest to tłum z pierwszych dni, gdy czekały ich dziesiątki, ale wystarczy, żeby zniechęcić mnie do wyjścia.

„Sprawa Carrie Conway”, bo tak się obecnie podsumowuje mój osobisty dramat, pasjonuje całą Amerykę, jak ko-

mentują najważniejsze kanały informacyjne. Pełno w tych doniesieniach określeń takich jak „nowa tajemnica żółtego pokoju” czy „tragedia godna Hitchcocka” lub też „Agatha Christie w wersji 2.0”, nie mówiąc już o nawiązaniach do Stephen’a Kinga, bo ktoś sprytnie skojarzył imię mojej córki, czy też o licznych teoriach zapełniających Reddit.

Z dnia na dzień ludzie, którzy nigdy o mnie nie słyszeli, nigdy nie czytali nie tylko moich książek, ale też w ogóle żadnych, zaczęli wyszukiwać rzekome zdania klucze w moich starych powieściach i na ich bazie budować idiotyczne hipotezy. Moje życie i życie ludzi, z którymi miałam kontakt, rozbierano na czynniki pierwsze – moja tragedia stała się pożywką dla sępów szukających dowodów oskarżenia. W gruncie rzeczy panuje bowiem ogólne przekonanie, że to ja odpowiadam za porwanie swojej córki.

Opinia ogółu jest najgorszym sędzią. Opinia ogółu nie potrzebuje dowodów, sądy wydaje bez zastanowienia i jednoznacznie. Opinii ogółu nie zależy na prawdzie, tylko na spektaklu. Opinia ogółu idzie do celu najkrótszą drogą, wystarczają jej pogłoski, żywi się smakowitymi obrazami i doniesieniami prasowymi o wątpliwej jakości, napędzanymi przez ogłupiałych czytelników zniewolonych przez marketing klikalności. Zniknięcie mojej córki, dramat, który mnie zniszczył, jest rozrywką, spektaklem, materiałem dla ripost i żartów. Co więcej, w wyścigu o uwagę publiczności wzięły udział nie tylko poślednie media, ale także tuzy, tak zwane media ambitne, które też lubią targać się w błocie, ale nie chcą ponosić konsekwencji, więc

zasłaniają się szczytnymi motywami, twierdzą, że ich rewelacje zostały poprzedzone żmudnym profesjonalnym śledztwem. Śledztwo to słowo, które ma usprawiedliwiać ich chorą fascynację i ciągle dręczenie mnie.

Zostałam ich więźniem. Cały dzień ukrywam się w mieszkaniu, w szklanym sześcianie na szóstym piętrze. Fantine kilka razy prosiła, żebym przeniosła się do niej, ale gdyby Carrie miała wrócić, to przecież wróci tutaj.

Moją jedyną ucieczką z tego więzienia jest taras na dachu budynku. Kiedyś znajdowało się tu boisko do badmintonu, teraz to ogrodzony bambusowymi tyczkami taras, z którego można podziwiać widok na wieżowce Manhattanu i Brooklynu. Miasto oglądane z tego miejsca jest jednocześnie dalekie i bliskie, widać najdrobniejsze szczegóły, jak parujące włazy miejskiej kanalizacji, mieniające się odbicia w szkłe wieżowców, żeliwne drabinki przeciwpożarowe przy balkonach fasad kamienic z czerwonej cegły.

Chodzę tam, żeby odetchnąć, kilka razy dziennie. Czasem wspinam się jeszcze wyżej po żelaznej drabinie na boiler zaopatrujący nasz budynek w wodę. Widok z tego miejsca zapiera dech w piersiach, wokół tylko niebo i przepaść. Kiedy spuszczam wzrok, czuję pokusę, by skoczyć w tę pustkę, i wtedy czuję żal, że nigdy nie udało mi się żyć z rodziną ani nawiązać przyjaźni.

Carrie była moim jedynym kontaktem ze światem. Wiem, że jeśli się nie znajdzie, prędzej czy później skoczę w dół. Tak jest mi pisane w księdze życia. Codziennie wspinam się na zbiornik, żeby sprawdzić, czy może to

dziś... Na razie tłąca się nadzieja wciąż mnie powstrzymuje, ale Carrie ciągle nie ma i obawiam się, że już nie na długo starczy mi siły. W głowie mam mętlik, co noc budzę się kilkakrotnie, złana potem, bez tchu, moje serce szarpie się niczym zwierzę zbyt długo zamknięte w klatce. Obraz Carrie powoli odpływa w nicość. Czuję, że mała mi umyka. Ma coraz mniej wyraźną twarz, zapominam jej grymasy, siłę spojrzenia, ton głosu. Dlaczego? Alkohol? Leki nasenne? Antydepresanty? Nieważne, po prostu czuję się, jakbym traciła ją drugi raz.

Dziwne, ale jedyną osobą, która zdaje się o mnie martwić, jest detektyw Mark Rutelli. Trzy miesiące temu przeszedł na emeryturę i teraz wpada do mnie co najmniej raz w tygodniu, by przekazać mi wieści o postępach w śledztwie, które wciąż prowadzi. Na razie wszystko utknęło w martwym punkcie.

No i jeszcze moja wydawczyni, Fantine.

3

– Floro, posłuchaj, naprawdę musisz się stąd wyprowadzić.

Jest czwarta po południu. Fantine de Vilatte siedzi na stołku barowym w kuchni z filiżanką herbaty w dłoni. Po raz kolejny stara się namówić mnie do przeprowadzki.

– Musisz porzucić to miejsce, żeby zacząć od nowa! – powtarza.

Ma na sobie obcisłą sukienkę w kwiaty, czarną ramoneskę i rude skórzane botki na obcasach. Miodowe włosy spięła w kok szeroką, wysadzaną perłami spinką, która mieni się w blasku jesiennego słońca.

Im dłużej na nią patrzę, tym bardziej mam wrażenie, że przeglądam się w lustrze. W ciągu kilku lat sukces zawodowy kompletnie ją przeobraził. Kiedyś nieśmiała i niepozorna, teraz nabrała pewności siebie i stała się napastliwie czarująca. Podczas dyskusji słysząc tylko ją, lekceważy rozmówców i właściwie nie znosi sprzeciwu. Powoli przeobraziła się we mnie. Ubiera się tak jak ja, tak samo gestykuluje, powtarza moje dowcipy, moje wyrażenia, tak jak ja odruchowo zatyka za ucho pasmo włosów. Z prawej strony szyi, w tym samym miejscu co ja, dała sobie wytatuować dyskretną kreskę wstęgę Möbiusa. Ja marnieję, ona rozkwita. Ja szarzeję, ona promienieje.

Po raz pierwszy spotkałam Fantine siedem lat temu w Paryżu, w ogrodach willi Salomona Rothschilda, podczas francuskiej premiery powieści pewnego sławnego amerykańskiego pisarza.

Kilka miesięcy wcześniej wyjechałam z Nowego Jorku. Chciałam zwiedzić Europę. Zarabiałam na życie drobnymi pracami. Tamtego wieczoru podawałam gościom szampana. Fantine, asystentka asystentki jakiejś wydawniczej szychy, była nikim. Ludzie potykali się o nią, była niewidzialna. Taka Miss Cellophane, która przepraszała, że żyje, nie wie, jak się zachować i gdzie podziać oczy.

Ja jedna ją zauważyłam, już wtedy drzemała we mnie powieściopisarka. Moją specjalnością jest umiejętność wychwycenia w człowieku cechy, z której posiadania on sam nie zdaje sobie sprawy. Może być i tak, że to mój jedyny talent, w każdym razie jestem w tym lepsza od innych. Ponieważ mówiła po angielsku, zamieniłyśmy kilka słów. Uderzyło mnie, że miały ją przeciwstawne emocje: nienawiść do środowiska, w którym pracowała, a jednocześnie pragnienie należenia do niego. Muszę przyznać, że ona również dostrzegła coś we mnie. Nagle poczułam się w jej towarzystwie na tyle dobrze, żeby wyznać, że kończę właśnie pisać powieść, którą zatytułowałam *Dziewczyna w Labiryncie*, historię kilku nowojorczyków przypadkowo zebranych w barze na Bowery dziesiątego września 2001 roku.

– Labirynt to nazwa tego baru – wyjaśniłam.

– Proszę mi obiecać, że ja pierwsza ją dostanę! – zażądała Fantine.

Kilka tygodni później wysłałam jej pocztą gotowy tekst, który ukończyłam po powrocie do Nowego Jorku. Przez dziesięć dni nie było żadnego odzewu. Nawet nie dostałam potwierdzenia, że otrzymała przesyłkę, aż któregoś wrześniowego popołudnia Fantine zadzwoniła do drzwi mojego mieszkania. Mieszkalam wtedy w małej kawalerce w Hell's Kitchen, w zniszczonym budynku przy Jedenastej Alei; miałam stamtąd piękny widok na rzekę Hudson i nadbrzeże New Jersey. Do dziś pamiętam, jak wówczas wy-

glądała Fantine: miała na sobie beżową pelerynę, na nosie okulary grzecznej dziewczynki, a w ręce teczkę bankierki. Z miejsca zakomunikowała mi, że bardzo jej się spodobała *Dziewczyna w Labiryncie* i że chce ją wydać, ale nie w firmie, dla której pracowała – chce otworzyć własne wydawnictwo, które miało stworzyć idealne warunki do publikacji mojej powieści. Gdy zaczęłam się z nią dzielić wątpliwościami, wyjęła z tekturowej teczki pozytywnie rozpatrzone przez bank podanie o kredyt. „Mam pieniądze na rozkręcenie firmy, Floro. To twój tekst sprawił, że się na to odważyłam. – I z iskrami w oczach dodała: – Jeśli mi zaufasz, będę walczyła o twoją książkę do utraty tchu!”. A ponieważ dla mnie moja książka i ja to jedno, usłyszałam: „Będę walczyła o ciebie do utraty tchu!”.

Coś takiego powiedziano mi po raz pierwszy w życiu. Uwierzyłam. Oddałam jej prawa do mojej powieści na cały świat.

Fantine dotrzymała słowa – rzuciła się ciałem i duszą w walkę o rozpowszechnienie mojej powieści. Niecały miesiąc później na targach we Frankfurcie prawa do *Dziewczyny w Labiryncie* zostały sprzedane do ponad dwudziestu krajów. W USA powieść ukazała się nakładem wydawnictwa Knopf z blurbem Maria Vargasa Llosy, w którym pisarz zapewniał, że powieść może się mierzyć z jego *Rozmową w „Katedrze”*. Michiko Kakutani, najważniejsza krytyczka literacka „New York Timesa”, przed którą drżeli wszyscy pisarze, stwierdziła, że powieść jest

napisana stylem odważnym i bezpretensjonalnym i że przedstawiając życie wielu osób, przejmująco odmalowuje świat na skraju przepaści.

Machina poszła w ruch. Wszyscy czytali *Dziewczynę w Labiryncie*, choć nie zawsze z właściwych pobudek i często w ogóle jej nie rozumiejąc. Cóż, zwykły mechanizm sukcesu.

Drugim genialnym pomysłem Fantine było zorganizowanie mojej nieobecności w mediach. Zamiast ubolewać nad moją niechęcią do występów publicznych, uczyniła z tego marketingowy atut, wypuszczając tylko jedno moje zdjęcie, tajemnicze, czarno-białe, na którym byłam podobna do Veroniki Lake. Wywiadów udzielałam mailowo. Nigdy nie spotykałam się osobiście z dziennikarzami, nie uczestniczyłam w spotkaniach autorskich w księgarniach ani nie dawałam wykładów na uniwersytetach czy w bibliotekach. Wielu pisarzy zaczynało wówczas chwalić się swoim życiem prywatnym i udzielać się na forach dyskusyjnych. Fakt, że nie było mnie wśród nich, stał się moją marką. W artykułach pisano, że trzymam się z daleka od ludzi, nazywano mnie tajemniczą Florą Conway. Odpowiadało mi to.

Napisałam drugą powieść, potem trzecią, za którą dostałam nagrodę. Dzięki temu sukcesowi paryska oficyna wydawnicza Fantine de Vilatte zdobyła solidną reputację na rynku międzynarodowym. Fantine zaczęła wydawać powieści innych autorów. Jedni starali się pisać w stylu Flory Conway, inni próbowali nie pisać w jej stylu, ale tak czy inaczej wszyscy w końcu porównywali się do mnie. To

również mi odpowiadało. W Paryżu środowisko Saint-Germain-des-Prés uwielbiało Fantine. Wydawała literaturę ambitną, broniła małych księgarni i swoich autorów; wszystko kręciło się wokół niej. Fantine, Fantine, Fantine...

Fantine naprawdę myśli, że mnie odkryła. Czasem, nawet gdy mówi o moich książkach, nazywa je „naszymi”. Jest to wielkie nieporozumienie, ale cóż – mam wrażenie, że prędzej czy później dzieje się tak ze wszystkimi wydawcami. Tymczasem kto kupił jej mieszkanie na Saint-Germain-des-Prés i wakacyjny dom na Cape Cod, kto płaci komorne za jej mieszkanie na Soho?

Czas mijał. Zaszłam w ciążę. Po raz pierwszy życie wydało mi się ciekawsze od pisania. To samo czułam, gdy Carrie przyszła na świat. Prawdziwe życie zaczęło mnie interesować bardziej niż pisanie, bo grałam w nim aktywną rolę. Zmniejszyła się potrzeba ucieczki w fikcję.

Kiedy moja córka ukończyła rok, Fantine zaczęła się niepokoić o moją kolejną powieść. Oczywiście nie powiedziałam, że skończyłam z pisaniem, tylko że robię sobie długą przerwę.

– Nie zamierzasz chyba zmarnować talentu z powodu tego dzieciaka?! – oburzyła się Fantine.

Odpowiedziałam, że już podjęłam decyzję i że teraz mam inne priorytety. Wolę spożytkować energię na córkę niż na pisanie powieści.

Tego Fantine nie mogła znieść.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).